

Zuzanna
Orlińska

Antoś

Ilustracje
Kasia Walentynowicz

KIDS

KLUB
INNOWATORÓW
DZIECIĘCYCH
SZPITALI





Tak się teraz zrobiło, że nie wolno wychodzić z domu. Pojawił się groźny wirus i trzeba uważać, żeby się nim nie zarazić. Wszyscy dookoła są tym bardzo zdenerwowani. Radio i telewizja w kółko powtarzają komunikaty o myciu rąk i noszeniu maseczek, a po ulicach jeździ specjalny samochód puszczając to samo przez głośnik.

Dla mnie to bez różnicy. I tak nie wychodzę z domu odkąd wróciłam ze szpitala. W moim życiu niewiele się zmieniło.

Napisałam, że niewiele się zmieniło, a zaraz potem pomyślałam, że to nieprawda. Da się zauważyć zmianę. A właściwie – usłyszeć.

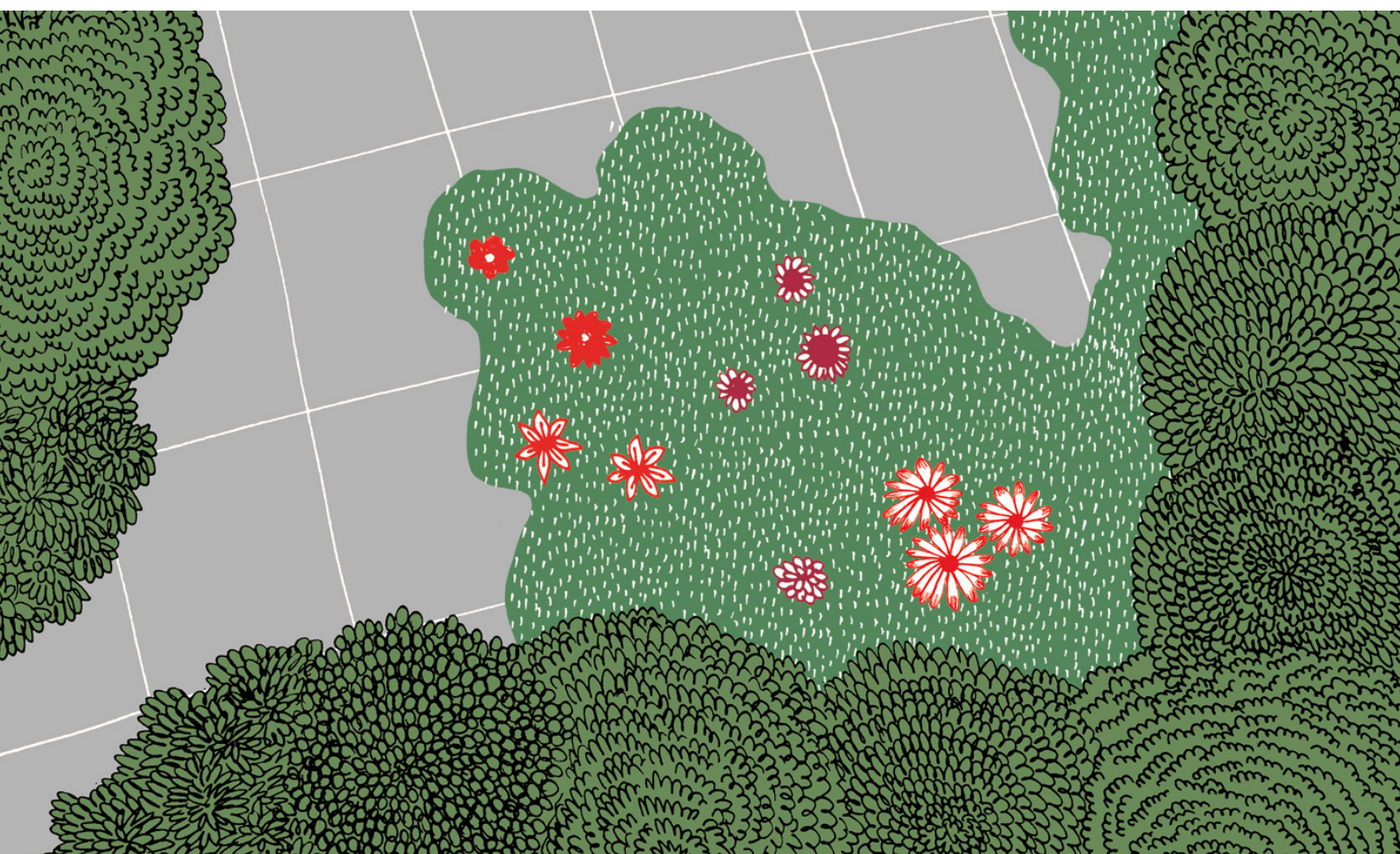
Po powrocie ze szpitala przez jakiś czas w ogóle nie wolno mi było wstawać z łóżka. Dni mijały, podobne do siebie. W naszym bloku ściany są cienkie, więc z samego rana budził mnie koncert rur. We wszystkich mieszkaniach ludzie wstawali o tej samej porze,



w tym samym czasie spuszczała wodę, jednym głosem szumiały prysznice. Sąsiad z lewej strony jeszcze nucił przy goleniu, kiedy w mieszkaniu pod nami włączała się telewizja śniadaniowa. Na podwórku poszczekiwały pieski, wyprowadzane na poranne spacer. Później słychać było już tylko samochody, jeden po drugim wyjeżdżające z garażu, a potem zapadała cisza.

Ta cisza trwała przez długie godziny. Koło południa mącił ją tylko turkot kół wózka listonosza. Potem znów było cicho. Uważałam, że to najnudniejsza część dnia.

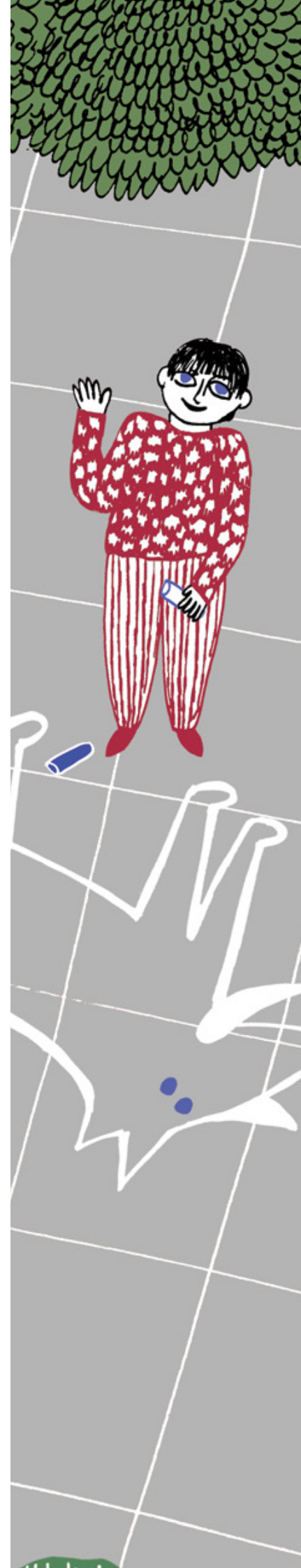
Po południu nasz blok znowu ożywał. Słychać było jakieś tupanie, rozmowy, brzęk sztućców, płacze dzieci, dzwonienie domofonów. Na czwartym piętrze





ktoś wytrwale uczył się grać na flecie, wciąż i wciąż powtarzając ten sam utwór. Wieczorem znów wychodziły psy, ich właściciele przystawali koło trawnika i wdawali się ze sobą w pogawędkę. Z okien dobiegały sygnały dzienników konkurujących ze sobą stacji telewizyjnych, albo chwytliwej melodii kiczotówek seriali. Soboty wyróżniały się mocnym, basowym rytmem walącym w przestrzeń z mieszkania wielbiciela rapu na ostatnim piętrze.

Odkąd zapanował wirus, wszystko się zmieniło. Podwórko ucichło. Dawniej starsze panie wracając z zakupów przystawały na rogu, żeby wymienić ostatnie plotki, a po alejkach dzieciaki jeździły na hulajnogach i rowerach. Robiły przy tym sporo hałasu. Teraz każdy przemyka bokiem, żeby przypadkiem z nikim się nie spotkać. Starsze panie i dzieci siedzą w domach. Właściciele psów już nie pozdrawiają się z daleka i nie gawędzą o swoich pupilach, może dlatego, że trudno się rozmawia w maseczce. Nawet listonosz turkocze coraz rzadziej.





Za to w naszym bloku od rana do wieczora brzeczy jak w ulu. Ten ktoś, kto popołudniami grał na flecie, teraz ciągle ćwiczy nowe utwory. W mieszkaniu pod nami robią remont. Przez otwarte okno słysząc pogwizdywanie robotników. Pan z mieszkania po lewej robi sobie telekonferencje na balkonie, mówi bardzo głośno do słuchawki, żeby przekrzyczeć odgłosy szlifierki z dołu. Natomiast raper z ostatniego piętra zatracił poczucie czasu i wysyła w niebo swoje tłuste bity od siódmej rano do północy.

A ja leżę i słucham.

Powiecie może, że to strasznie nudne. Pewnie tak, ale już się przyzwyczaiłam. Poza tym wcale nie muszę tylko tak leżeć i nic nie robić. Czytam, słucham audiobooków, a dzięki temu, że wszyscy mają teraz lekcje przez internet, mogę nawet spotykać się z moją klasą, co wcześniej było niemożliwe. Ale jasne, że czasem się nudzę. Wtedy cieszę się, że jest ze mną wilk.

Ten wilk to prezent od mojego kolegi ze szpitala, Tomka. Tomek był fajny. Umiał ładnie śpiewać. Zawsze mogłam go poprosić o jakąś piosenkę. Najbardziej lubiłam taką, która zaczynała się od słów: Gdy cisza i mrok, ogarną mój dom, wychodzi zza szafy maleńki mój skrzat. Śpiewał mi ją zawsze przed pójściem spać, a ja wierzyłam, że dzięki niej każdej nocy mam ładne sny.







Kiedy okazało się, że Tomek wychodzi do domu, a ja muszę jeszcze zostać w szpitalu, bardzo się zmartwiłam. Bałam się, że nie będę umiała zasnąć, jeśli nikt nie zaśpiewa mi piosenki o skrzacie. Wtedy Tomek narysował mi wilka. Okazało się, że śpiewać umiał dużo ładniej niż rysować. Gdyby mi nie powiedział, że to wilk, nigdy bym sama nie poznała! Dziwny stwór o szarym futrze z sylwetki przypominał raczej dzika. Z podłużnego pyska wystawały jakieś słoniowe kły, a ogon miał jak koń. Ale Tomek twierdził, że to wilk, więc nie miałam powodu mu nie wierzyć.

– Dziękuję! – powiedziałam, biorąc od niego rysunek. Nie wypadało go nie przyjąć, jednak pomyślałam, że szary bohomaż nie zastąpi mi Tomka i jego piosenek.

Tomek chyba zauważył moje wątpliwości.

– Ten wilk – powiedział poważnie – zna wszystkie piosenki, które ja znam.

– O skrzacie też?

– Pewnie. Umie też opowiadać różne historie. I wie, co robić, kiedy masz gorączkę, albo boli cię brzuch czy głowa. Bo to taki szpitalny wilk.

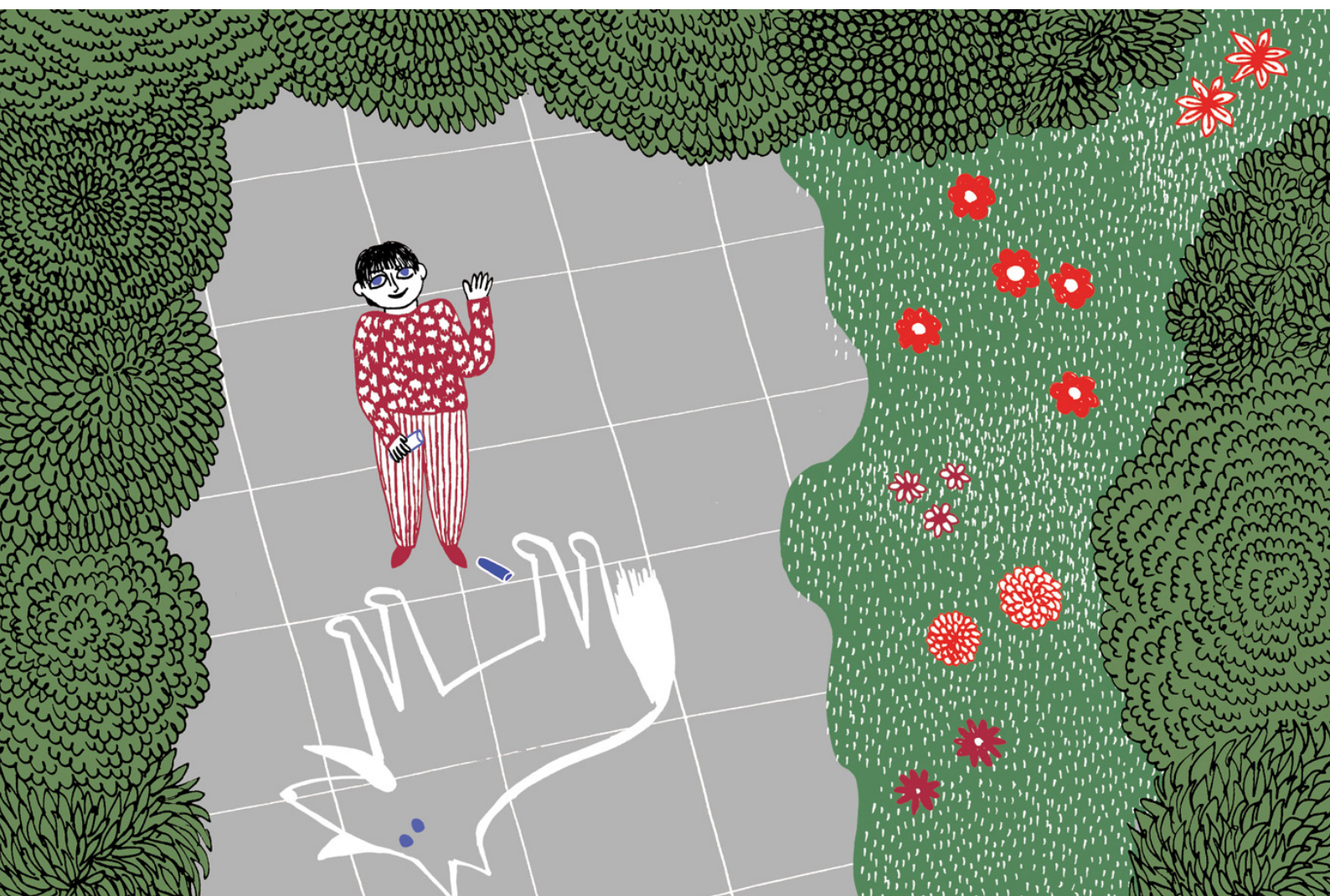
Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, myślałam, że Tomek tylko tak mówi na pocieszenie. Ale pierwszej nocy po jego wypisie czułam się taka samotna i tak bardzo tęskniłam, że włożyłam ten rysunek pod poduszkę. Zgasłam światło, zamknęłam oczy... Już po chwili usłyszałam znajome słowa: Gdy cisza i mrok,





ogarną mój dom... Jednocześnie poczułam dotyk miękkiego futra. Bałam się zapalić światło, żeby wilk się nie przestraszył. Śpiewał inaczej niż Tomek – nie jak chłopiec, tylko jak wilk – grubym, szorstkim, trochę gardłowym głosem. Ale mimo tego dzikiego głosu piosenka brzmiała bardzo ładnie. Ostrożnie dotknęłam miękkiego futra i zasnęłam.

Od tamtej pory wilk był stale ze mną. Czekał cierpliwie, aż się obudzę po operacji i ogrzewał swoim ciepłym futrem jajko na miękko, które dostałam na pierwszą, lekkostrawną kolację, żeby całkiem nie ostygło. Obawiałam się, że nie będzie mógł pójść ze mną





do domu. Był przecież szpitalnym wilkiem. Ale wytłumaczył mi, że jego wilczym prawem jest chodzić tam, gdzie chce i być w miejscach, gdzie go najbardziej potrzebują.

Kiedy mama wchodzi do pokoju, wilk udaje, że jest rysunkiem, trochę pomiętym i przybrudzonym, schowanym pod moją poduszką. Gdy mama wychodzi, staje się normalnym wilkiem. No, normalnym to może niewłaściwe określenie, bo jako żywe zwierzę wciąż ma ciało dzika, słoniowe kły i koński ogon. Dziwnie to wygląda, jednak wiem, że jest prawdziwy. W ciągu dnia lubi wygrzewać się leniwie w słonecznej smudze pod drzwiami balkonu. Wieczorami ożywia się. Śpiewa mi albo opowiada o różnych przygodach, które przeżył w swoim wilczym życiu. Nigdy się z nim nie nudzę.

Nad nami mieszka Antoś. Mama spotkała go kiedyś na schodach, kiedy jeszcze wolno mu było chodzić do przedszkola, i stąd wiadomo, jak ma na imię. Ale ja nigdy go nie widziałam. Poza tym wiem o nim bardzo dużo. Ze słyszenia. Wiem, że budzi się bardzo wcześnie, przed szóstą rano



i tup, tup, tup – biegnie do sypialni swoich rodziców. Wiem, że lubi bawić się klockami, bo często słyszę, jak rozsypują się po podłodze. I że ma małe zabawkowe pianinko, które wydaje śmieszne dźwięki. Lubi szybko biegać, ale czasami się przewraca i płacze. Wiem, że codziennie ogląda świnkę Peppę. Że bardzo nie lubi się kąpać. I że chętnie słucha, jak tata czyta mu bajki na dobranoc.

Można powiedzieć, że przez ostatnie miesiące zaprzyjaźniłam się z Antosiem, chociaż on o tym nie ma pojęcia. Raczej nie może mnie słyszeć, bo ja przeważnie leżę, a leży się po cichu.

Parę tygodni temu obudził mnie w nocy głośny płacz. Domyśliłam się, że coś się stało w mieszkaniu Antosia. Słychać było czyjeś szybkie kroki z sypialni do łazienki, z łazienki do pokoju chłopca i z powrotem. Ktoś rozmawiał głośno przez telefon. A Antoś cały czas płakał i płakał.

– Słyszysz? – w ciemności namacałam kudłaty kark wilka. – Antoś płacze.

– Tak – szepnął.

– Co się stało?

– Nie wiem – powiedział wilk.

– Słuchaj – chuchnęłam w futrzaste ucho. – Nigdy cię o to nie pytałam, ale... Czy ty jesteś tylko mój?

– Co? – nie zrozumiał wilk.







- Czy tylko ja mogę cię widzieć, czy ktoś inny też by mógł?

- Hmmm... - mruknął wilk. - Nie jestem pewny. Nigdy nie sprawdzałem.

- A może moglibyśmy to sprawdzić teraz?

- Chcesz, żebym poszedł tam, na górę? - domyślił się wilk. - Mogę spróbować.

Zapaliłam nocną lampkę, żeby widzieć, jak się do tego zabierze. A on sprężył się, odbił od poręczy mojego łóżka, jednym susem skoczył pod sufit i zniknął w wylocie wentylacji.

Nie gasiłam światła. Czekałam, nasłuchując. Przez dłuższą chwilę nic się nie zmieniło. Antoś wciąż płakał, jego rodzice biegali po domu. Jednak po pewnym czasie wszystko umilkło. Zapanowała zwykła nocna cisza. Tylko od strony otworu wentylacyjnego dobiegała mruczana ciepłym basem melodia: Gdy cisza i mrok, ogarną mój dom...

Obudziłam się nagle, bo przygniótł mnie jakiś ciężar.

- O, psiakostka, przepraszam! - powiedział wilk.





– Celowałem w dywanik.

Roześmiałam się, bo wyglądał naprawdę zabawnie. Jego pękatemu cielsku dzika chyba trudno było przecisnąć się przez wąski przewód wentylacyjny, bo futro miał zakurzone i pełne kawałków gruzu.

– No co? – oburzył się. – Jutro to wylizę. Dziś jestem zmęczony.



– Co z Antosiem?

– Będzie dobrze – mruknął, zeskoczył na podłogę i zwinął się w kłębek na moich kapciach.

– Na pewno?

– Słowo szpitalnego wilka – ziewnął. – Możesz zgasić światło?





Postuszenie przycisnęłam wyłącznik. Po chwili wilk zaczął chrapać. Nie czułam się senna. Słuchałam, co dzieje się piętro wyżej. Antoś już nie płakał. Co jakiś czas dobiegały z góry jakieś kroki i głosy, lecz znacznie spokojniejsze niż przedtem. Na ulicy odezwał się sygnał karetki pogotowia, coraz bliżej i bliżej. Niebieskie światło zamigotało na półce z książkami, po czym ześlizgnęło się na pysk śpiącego wilka. Zamruczał przez sen i nakrył oczy ogonem.

Przez kilka następnych dni codzienna muzyka naszego bloku brzmiała inaczej niż zwykle. Ranek nadal rozpoczynał się fanfarami rur i dźwiękami telewizji śniadanowej. Koło ósmej wchodziły wiertarki. O dziewiątej zaczynała się telekonferencja na sąsiednim balkonie. Potem uparte solo na flecie. Koło południa budził się raper i jego basy. Lecz w tym całym rozgardiaszu brakowało jednej linii melodycznej: wesołego tupania, rozsypujących się klocków i świnki Peppy z mieszkania na górze.

Wilk mówił, że wszystko będzie dobrze, a ja mu na to nic nie odpowiadałam. Nie chciałam go urazić, ale nie bardzo w to wierzyłam.

Tymczasem okazało się, że wiosna nie obawia się żadnych wirusów. Przyszła jak co roku. Wolno już było wychodzić z domu do parku i na spacer. To znaczy: innym ludziom było wolno, ja dalej musiałam leżeć. Za to mama wystawiła na balkon miseczkę z wodą dla



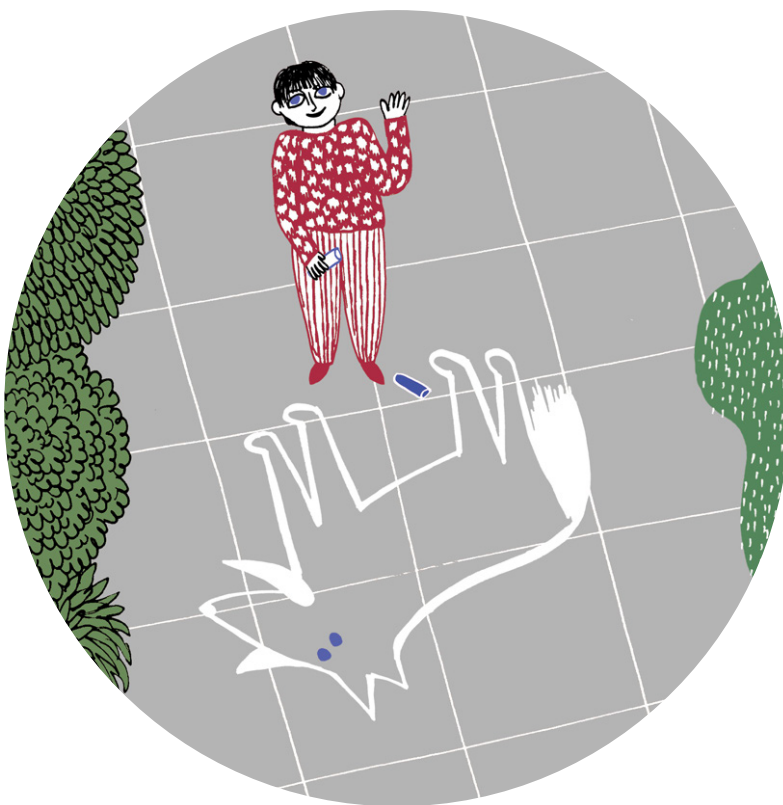


ptaków i przesunęła moje łóżko pod okno, tak, żebym mogła obserwować kąpiące się w niej wróble i sikorki.

Tego przedpołudnia mama właśnie dolewała ptakom świeżej wody.

– O, Antoś wyzdrowiał – zauważyła, wyglądając na podwórze. – Ale co on robi?

– Gdzie jest? Mogę zobaczyć? – dopytywałam, więc pomogła mi się podnieść.



Na asfaltowej alejce przed naszym blokiem kucał mały, najwyżej czteroletni chłopczyk i rysował coś kolorową kredą. Obok stała jego mama w maseczce na twarzy. Nie mogłam dostrzec, co jest na rysunku, bo oboje zasłaniali sobą cały widok. Wreszcie chłopczyk skończył. Wstał, otrzepał kolana i odsunął się, żeby



z odległości ocenić swoje dzieło. I wtedy obie z mamą zobaczyłyśmy, co to było.

– Jakieś dziwne zwierzę – pokręciła głową mama.

– To wilk – powiedziałam.

– Wilk? – zdziwiła się. – Bardziej podobny do dzika. Zresztą, może to raczej słoń? Spójrz na te kły. Tak, na pewno słoń, chociaż z ogona przypomina konia.

– Na pewno wilk – powtórzyłam.

– Skoro wilk, to trochę mu się nie udał – stwierdziła mama.

Antoś jednak był zadowolony. Uważnie obejrzał swój rysunek. A potem odwrócił się, zadartł głowę i spojrzał prosto w moje okno. Teraz widziałam go dobrze. Miał czarne włosy i niebieskie oczy, zupełnie tak, jak go sobie wyobrażałam. Pomachałam mu, choć nie byłam pewna, czy może zobaczyć mnie z dołu. Widział mnie, bo podniósł rękę i odmachął.

Zuzanna Orlińska

